Dom dwóch skrzydeł

Opowieść o tym, co pozostaje po poprawianiu świata

Na skraju niewielkiego miasteczka stał dom z czerwonej cegły. Był tak stary, że nikt już nie pamiętał, kto go zbudował ani do czego pierwotnie służył. Miał dwa rozległe skrzydła, połączone długim korytarzem, i niewielki ogród zamknięty z trzech stron wysokim murem.

Oba skrzydła były jednakowo duże. Miały tyle samo okien, tyle samo pokoi i niemal tyle samo pracowników.

Nad wejściem do lewego skrzydła widniał napis:

DIAGNOŚCI

Nad wejściem do prawego:

INTERPRETATORZY

Nikt nie pamiętał, kiedy dokonano tego podziału. Był tak dawny, że mieszkańcy miasteczka uznawali go za naturalny porządek rzeczy.

Diagności zajmowali się ustalaniem, co odbiega od przyjętych miar. Mierzyli, ważyli, porównywali, obserwowali i zapisywali.

Interpretatorzy wyjaśniali, dlaczego coś odbiega od tych miar i co należałoby z tym zrobić.

Oba skrzydła współpracowały ze sobą zgodnie. Każde rozpoznanie przekazywano do interpretacji, a każdą interpretację można było skierować ponownie do rozpoznania.

Było jeszcze trzecie miejsce.

Na najwyższym piętrze budynku, dokąd prowadziły osobne schody z obu skrzydeł, znajdowały się gabinety specjalistów.

Nie mieli własnego skrzydła.

Nie potrzebowali.

Na drzwiach, wykonanych z ciemnego drewna, widniała niewielka mosiężna tabliczka:

SPECJALIŚCI

Tutaj trafiały sprawy wymagające rozstrzygnięcia.

Specjaliści zapoznawali się z rozpoznaniami diagnostów, czytali wyjaśnienia interpretatorów, czasem przeprowadzali dodatkowe badania, a następnie wydawali opinie.

Każdą opinię opatrywano podpisem oraz okrągłą pieczęcią.

Pieczęć miała szczególne znaczenie.

Od chwili jej postawienia rozpoznanie stawało się podstawą dalszego postępowania. Diagności otrzymywali dokładniejsze wskazówki, czego szukać podczas kolejnych badań. Interpretatorzy zyskiwali podstawę do dalszych wyjaśnień.

A mieszkańcy miasteczka mogli wreszcie wiedzieć, co mają robić.

Pracy nigdy nie brakowało.

Dom wzniesiono bowiem przy starym trakcie, którym od niepamiętnych czasów wędrowały rozmaite stworzenia.

Z jednej strony droga prowadziła ku rozległym równinom i wodopojom, z drugiej ku lasom, dalej zaś, za kamienistymi wzgórzami, ku pustyni.

Zwierzęta chodziły tędy, zanim położono pierwszy kamień pod fundamenty domu.

Niektóre zatrzymywały się przy strumieniu. Inne odpoczywały pod drzewami. Jeszcze inne przemierzały trakt tak szybko, że po ich przejściu przez wiele minut unosił się kurz.

Nikt nie uważał tego za szczególnie godne uwagi.

Dopiero kiedy powstał dom dwóch skrzydeł, zaczęto bliżej przyglądać się przechodniom.

Początkowo pracownicy wychodzili przed budynek jedynie podczas przerw. Z czasem zauważyli, że niemal każdego dnia można tam spotkać istoty o najrozmaitszych właściwościach.

Jedne miały niezwykłe ubarwienie.

Inne poruszały się zadziwiająco szybko lub powoli.

Niektóre były tak wysokie, że nie mieściły się pod zadaszeniem wejścia.

Pracownicy nie pozostali obojętni.

Zaczęli zapraszać przechodzące zwierzęta do środka, proponując im fachową ocenę ich osobliwości.

Robili to uprzejmie i z przekonaniem, że udzielają potrzebnej pomocy.

Pomiędzy skrzydłami rosła stara grusza. Miała gruby, popękany pień i gałęzie, które sięgały aż do okien najwyższego piętra.

Co roku rodziła mnóstwo owoców.

Nikt ich jednak nie zbierał, ponieważ nigdy nie ustalono, czy grusza należy do diagnostów, czy do interpretatorów.

Specjaliści nie zajmowali się sprawami własności drzew.

Jesienią dojrzałe gruszki spadały na ziemię. Niektóre zjadały ptaki, inne gniły w wysokiej trawie.

Z czasem ogród zarósł.

Pierwsza zjawiła się zebra.

Przyszła wczesną wiosną wraz ze stadem, które od wielu pokoleń przemierzało tę drogę w poszukiwaniu świeżej trawy.

Rankiem zebry zatrzymały się na równinie za miasteczkiem. Pasły się spokojnie, od czasu do czasu podnosząc głowy, żeby sprawdzić, czy w oddali nie zbliża się drapieżnik.

Kiedy jedna ruszała, pozostałe poruszały się razem z nią. Czarne i białe pasy nakładały się na siebie, rozdzielały i znów łączyły w jeden ruchliwy obraz.

Młode zebry biegały pomiędzy dorosłymi, czasem gubiąc matkę na kilka chwil, lecz po chwili odnajdując ją po zapachu i znajomym głosie.

Zebra, która później trafiła do domu dwóch skrzydeł, lubiła biegać w środku stada.

Nie zastanawiała się nad swoim umaszczeniem.

Nie przeszkadzały jej ani czarne pasy, ani białe.

Nie miała również trudności z ich jednoczesnym noszeniem.

Pewnego przedpołudnia podeszła do strumienia płynącego nieopodal domu. Schyliła głowę i zaczęła pić.

Właśnie wtedy zobaczył ją jeden z diagnostów.

Od dłuższego czasu obserwował przechodzące zwierzęta, próbując ustalić, które z nich mogłyby skorzystać z pomocy.

Zwrócił uwagę na niezwykłą rozbieżność jej barw.

Podszedł bliżej.

— Czy pani wie, że jest pani jednocześnie czarna i biała?

Zebra podniosła głowę.

Spojrzała na swoje przednie nogi.

— Tak.

— I nie sprawia to pani trudności?

— Nie.

Diagnosta zastanowił się przez chwilę.

— Warto byłoby to sprawdzić.

Zaprosił ją do domu.

Zebra była ciekawa, co mieści się za wysokimi oknami, więc poszła za nim.

W pierwszym gabinecie zmierzono szerokość pasów. W drugim policzono ich liczbę. W trzecim próbowano ustalić, czy zebra jest biała w czarne pasy, czy czarna w białe.

Nie udało się osiągnąć porozumienia.

Ostatecznie zapisano:

„Nadmierne zróżnicowanie powierzchni. Występowanie przeciwstawnych cech. Brak jednolitego wzorca”.

Zebra została skierowana do interpretatorów.

Tam zastanawiano się, co może oznaczać tak znaczna rozbieżność barw.

— Być może nie potrafi zdecydować, po której stronie chce się znaleźć — powiedział jeden z interpretatorów.

— Albo próbuje być jednocześnie dwiema różnymi istotami — zauważył drugi.

Trzeci zaproponował, żeby nie rozstrzygać sprawy zbyt pochopnie.

Wszyscy przyznali mu rację.

Skierowano więc zebrę na najwyższe piętro.

Specjalista obejrzał dokumentację. Przez chwilę przyglądał się jej umaszczeniu, a następnie polecił, żeby przeszła kilka razy przez gabinet.

Zebra przeszła.

— Proszę się odwrócić.

Odwróciła się.

— A teraz stanąć spokojnie.

Stanęła.

Specjalista zapisał kilka zdań i sięgnął po pieczęć.

W opinii znalazło się rozpoznanie:

„Dwubiegunowość — wskazane postępowanie stabilizujące".

Pieczęć uderzyła o papier z głuchym, krótkim stuknięciem.

Zebra otrzymała dokument.

Wróciła z nim do interpretatorów.

Ci byli teraz zgodni, że należy pomóc jej osiągnąć większą jednolitość.

Zaczęto więc stopniowo wyrównywać ubarwienie.

Najpierw rozjaśniano ciemniejsze pasy. Później przyciemniano jaśniejsze.

Zebra znosiła te zabiegi spokojnie. Stała cierpliwie, gdy nanoszono kolejne warstwy barwnika, i tylko czasem odwracała głowę, jakby chciała zobaczyć, co dzieje się z jej bokami.

Po kilku tygodniach była niemal całkiem szara.

Diagności byli zadowoleni.

Interpretatorzy również.

Specjalista po zapoznaniu się z wynikami stwierdził wyraźne zmniejszenie kontrastów.

W dokumentacji zapisano znaczną poprawę.

Zebra wróciła na równinę.

Wieczorem, gdy stado zbierało się przy wodopoju, podeszła do pozostałych zwierząt.

Kilka z nich odsunęło się niepewnie. Młode zebry przyglądały jej się z daleka.

Dawniej, kiedy poruszała się pośród stada, jej pasy splatały się z pasami innych zebr. Z oddali wszystkie tworzyły jeden poruszający się obraz.

Teraz była szarą plamą pośród czarno-białych grzbietów.

Zaczęła trzymać się na uboczu.

Po kilku dniach przestała podchodzić do wodopoju razem z innymi.

Wróciła więc do domu dwóch skrzydeł.

Diagności rozpoznali trudności w przystosowaniu do grupy.

Interpretatorzy uznali, że zebra ma kłopot z zaakceptowaniem własnej odmienności.

Skierowano ją ponownie do specjalisty.

Przeczytał poprzednią opinię, przejrzał wyniki i stwierdził, że dotychczasowe postępowanie przyniosło oczekiwany rezultat, ale pojawiły się dodatkowe trudności wymagające dalszej pracy.

Wydał następną opinię.

Otrzymała drugą pieczęć.

Tym razem zalecono ćwiczenia przynależności i wzmacnianie poczucia własnej tożsamości.

Podczas pierwszych zajęć poproszono zebrę, żeby opowiedziała, co najbardziej lubiła w swoim dawnym życiu.

— Biegać ze stadem — odpowiedziała.

— A co pani w tym przeszkadza?

Zebra długo milczała.

Potem odwróciła głowę i popatrzyła na swój szary bok.

Interpretator zanotował:

„Trudność w werbalizacji przyczyn wycofania społecznego”.

Rozpoczęto nowe postępowanie.

Gepard pojawił się latem.

Od kilku dni polował na równinach rozciągających się za miasteczkiem.

Każdego ranka, kiedy słońce zaczynało ogrzewać trawę, wychodził na łowy.

Poruszał się ostrożnie, niemal bezszelestnie, dopóki nie znalazł się wystarczająco blisko antylop.

Wtedy nieruchomiał.

Przez chwilę cały jego świat zawierał się w kilku oddechach.

A potem ruszał.

Jego łapy uderzały o ziemię tak szybko, że trawa kładła się pod nim, zanim zdążyła się podnieść po poprzednim kroku. Ciało rozciągało się i kurczyło, ogon utrzymywał równowagę podczas gwałtownych skrętów.

Nie biegł bez końca.

Wiedział, kiedy się zatrzymać.

Kiedy polowanie się udawało, jadł i odpoczywał.

Kiedy antylopa uciekała, przez jakiś czas leżał w cieniu, odzyskując siły.

Nie potrzebował nieustannego ruchu.

Potrzebował szybkości wtedy, gdy była mu potrzebna.

Pewnego dnia ścigana antylopa przebiegła nieopodal domu dwóch skrzydeł. Gepard podążył za nią, gwałtownie zmieniając kierunek przy samym wejściu.

Potrącił stojak z parasolami.

Portier krzyknął, żeby uważał.

Gepard zatrzymał się dopiero na końcu dziedzińca.

Hałas usłyszeli diagności.

Wyszli przed budynek i przez kilka chwil przyglądali się zwierzęciu, które ciężko oddychało po biegu.

— Czy pan zawsze porusza się w ten sposób? — zapytał jeden z nich.

— Kiedy poluję.

— A czy nie mógłby pan poruszać się spokojniej?

— Wtedy antylopa ucieknie.

Diagnosta zapisał odpowiedź.

Zaproponował pomiar prędkości.

Gepard, który zdążył już odpocząć, zgodził się bez oporu.

Mierzenie sprawiło diagnostom wiele trudności. Kilkakrotnie trzeba było powtarzać próbę, ponieważ gepard dobiegał do końca wyznaczonego odcinka, zanim pracownik zdążył uruchomić zegar.

Ostatecznie stwierdzono nadmierną dynamikę ruchową.

Interpretatorzy odbyli kilka posiedzeń.

Zastanawiano się, skąd bierze się potrzeba tak gwałtownego przemieszczania się.

— Czy przed czymś uciekasz? — zapytano geparda.

— Nie.

— A dlaczego biegasz?

— Poluję.

— Czy nie mógłbyś polować spokojniej?

Gepard spojrzał na pytającego.

Nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć.

Sprawę skierowano na najwyższe piętro.

Specjalista przeczytał protokół dotyczący przewróconego stojaka na parasole. Obejrzał wyniki pomiarów prędkości, przeprowadził kilka dodatkowych prób i sporządził opinię.

„Nadpobudliwość ruchowa. Wskazana regulacja tempa i kontrola impulsów”.

Pod dokumentem znalazła się okrągła pieczęć.

Gepard wrócił do interpretatorów.

Przygotowano dla niego program nauki chodzenia w jednakowym, umiarkowanym tempie.

Ćwiczył codziennie.

Najpierw po korytarzu, potem po dziedzińcu, a wreszcie w ogrodzie, gdzie pomiędzy gruszą a murem wyznaczono mu specjalną ścieżkę.

Każdy zbyt szybki ruch przerywano.

Za powolne, równe kroki otrzymywał pochwały.

Po kilku miesiącach potrafił już przejść cały dziedziniec bez najmniejszego przyspieszenia.

Diagności uznali to za wielki sukces.

Interpretatorzy zapisali, że gepard zaczął panować nad swoimi impulsami.

Specjalista potwierdził skuteczność postępowania.

Wkrótce gepard wrócił na równinę.

Pierwszego dnia zobaczył stado antylop.

Przyczaił się w wysokiej trawie.

Kiedy ruszył, przez chwilę poczuł dawne napięcie mięśni, znajomą sprężystość łap, gwałtowne uderzenie serca.

Ale zaraz zwolnił.

Przez wiele miesięcy uczono go przecież, że nadmierne przyspieszenie jest nieprawidłowe.

Antylopy uciekły.

Następnego dnia było podobnie.

Trzeciego również.

Po tygodniu gepard zaczął chudnąć.

Po dwóch tygodniach z trudem podnosił się z ziemi.

Wrócił do domu dwóch skrzydeł.

Diagności rozpoznali poważny spadek masy ciała i osłabienie.

Interpretatorzy długo rozważali, dlaczego mimo tak dobrych rezultatów wcześniejszego postępowania zwierzę utraciło zdolność samodzielnego zdobywania pożywienia.

Niektórzy podejrzewali niedostateczną motywację.

Inni uważali, że gepard może mieć trudność z zaakceptowaniem nowych umiejętności.

Po kolejnej konsultacji specjalista potwierdził niedożywienie i zalecił dodatkowe badania.

Do wcześniejszej opinii dołączono nową.

Gepard otrzymał program wzmacniający oraz skierowanie na konsultację żywieniową.

Próbował wyjaśnić, że jest głodny.

Zapisano, że nadmiernie koncentruje się na jedzeniu.

Kiedy poprosił, żeby pozwolono mu znowu szybko biegać, pokazano mu pierwszą opinię specjalisty.

Przecież właśnie nad tym pracowano przez ostatnie miesiące.

Leniwiec pojawił się jesienią.

Od lat mieszkał w lesie, z którego jedna z dawnych dróg prowadziła do miasteczka.

Większość życia spędzał na drzewach.

Poruszał się powoli, przytrzymując gałęzie długimi, zakrzywionymi pazurami. Każdy ruch wykonywał bez pośpiechu, oszczędzając siły, które innym zwierzętom wystarczały na krótką chwilę gwałtownego wysiłku.

Jadł liście.

Spał.

Przemieszczał się do następnego drzewa, kiedy na poprzednim brakowało odpowiedniego pożywienia.

Czasem godzinami pozostawał w jednym miejscu, a wtedy na jego futrze osiadały drobne owady.

Nie odczuwał z tego powodu szczególnego zakłopotania.

Nie miał również poczucia, że powinien zrobić coś więcej przed końcem dnia.

Pewnej jesieni gałęzie drzew rozrosły się tak bardzo, że jedna z nich sięgnęła ponad mur ogrodu domu dwóch skrzydeł.

Leniwiec, przemieszczając się swoim zwyczajem, trafił na tę gałąź.

Po drugiej stronie muru rosła grusza.

Jej liście nie były wprawdzie jego ulubionym pożywieniem, ale drzewo wydawało mu się interesujące, więc postanowił przyjrzeć mu się z bliska.

Wyruszył w poniedziałek.

W środę był już niemal nad murem.

W czwartek rano dostrzegł go ogrodnik.

Przez dłuższą chwilę obserwował zwierzę, które przesuwało jedną łapę po gałęzi z taką powolnością, jakiej nigdy dotąd nie widział.

Poszedł po diagnostę.

Kiedy wrócili, leniwiec znajdował się niemal w tym samym miejscu.

— Czy on w ogóle się porusza? — zapytał diagnosta.

— Od rana przesunął się może o pół metra — odpowiedział ogrodnik.

Diagnosta wyciągnął notes.

Postanowiono przyjrzeć się zwierzęciu bliżej.

Zanim leniwiec znalazł się w gabinecie, zdążyły minąć jeszcze dwa dni.

Nie przeszkadzało mu to.

W pierwszym skrzydle odnotowano znaczne spowolnienie oraz trudności w dotrzymywaniu wyznaczonych terminów.

Interpretatorzy uznali, że zwierzę prawdopodobnie unika aktywności.

Podczas rozmowy jeden z nich zapytał:

— Czy odczuwa pan radość z codziennego życia?

Leniwiec długo zastanawiał się nad odpowiedzią.

— Tak.

— A co sprawia panu radość?

— Liście.

Interpretator czekał.

— I co jeszcze?

Leniwiec przez chwilę patrzył na okno.

— Słońce.

— A poza tym?

Leniwiec podrapał się powoli za uchem.

— Deszcz.

Odnotowano ograniczony zakres zainteresowań.

Specjalista na najwyższym piętrze przeprowadził dodatkową ocenę.

Leniwiec potrzebował sporo czasu, żeby odpowiedzieć na pytania.

Kiedy poproszono go o szybkie wykonanie kilku ruchów, zrobił je dokładnie w taki sam sposób, w jaki wykonywał je przez całe życie.

W opinii znalazło się podejrzenie depresji, wymagające dalszej obserwacji, oraz zalecenie aktywizacji.

Dokument opatrzono pieczęcią.

Przygotowano program zwiększania dynamiki.

Leniwiec miał codziennie wykonywać określoną liczbę ruchów w wyznaczonym czasie. Uczono go szybszego przechodzenia z jednej gałęzi na drugą, energicznego sięgania po liście i natychmiastowego reagowania na sygnały.

Z początku próbował.

Kiedy słyszał dzwonek, poruszał łapą trochę szybciej.

Kiedy słyszał następny, usiłował przyspieszyć jeszcze bardziej.

Pod koniec tygodnia był tak zmęczony, że zasnął, zanim zdążył zjeść kolację.

Nazajutrz nie przyszedł na ćwiczenia.

Ani następnego dnia.

Diagności odnotowali dalsze obniżenie aktywności.

Interpretatorzy rozpoznali narastającą niechęć do współpracy.

Specjalista uznał, że dotychczasowy program może wymagać intensyfikacji.

Zwiększono liczbę zajęć motywacyjnych.

Po kilku dniach leniwiec przestał podnosić głowę, kiedy do niego mówiono.

Wtedy uznano, że depresja mogła się pogłębić.

Sporządzono nową opinię.

Przyłożono kolejną pieczęć.

Żyrafa przyszła, kiedy liście na gruszy zaczęły żółknąć.

Wędrowała od wielu dni przez równiny, zatrzymując się przy wysokich drzewach.

Jej długa szyja pozwalała jej sięgać po liście, których nie dosięgały inne zwierzęta.

Nie musiała rywalizować o niskie gałęzie.

Nie musiała też schylać się przez większą część dnia.

Wystarczyło, że podchodziła do drzewa, wybierała odpowiednią gałąź i spokojnie zrywała liście językiem.

Z wysokości swojej głowy widziała daleko ponad trawami.

Nieraz pierwsza dostrzegała nadchodzącą burzę albo ruch drapieżnika.

Długie nogi pozwalały jej pokonywać rozległe przestrzenie.

Szyja nie była dla niej ciężarem.

Była częścią tego samego ciała, które nosiło ją przez sawannę, odnajdywało pożywienie i pozwalało podnosić głowę ku najwyższym gałęziom.

Tego dnia zatrzymał ją zapach gruszek.

Gałęzie starego drzewa wyrastały ponad mur ogrodu. Na jednej z nich wisiało kilka dojrzałych owoców.

Żyrafa wyciągnęła szyję i zerwała gruszkę.

Była słodka.

Sięgnęła po następną.

Wtedy zauważył ją portier.

— Proszę pani! — zawołał. — To drzewo należy do naszego domu!

Żyrafa spojrzała na niego z góry.

Portier poczuł się nieswojo.

— Proszę zejść na dół.

Żyrafa pochyliła głowę.

— Chciałbym panią o coś zapytać — powiedział. — Dlaczego pani tak na mnie patrzy?

— Jak?

— Z góry.

Żyrafa rozejrzała się.

— Stoi pan niżej.

Portier nie był zadowolony z tej odpowiedzi.

Zaproponował jej rozmowę z diagnostami.

Przed wejściem do domu znajdowało się niskie zadaszenie.

— Proszę wejść — powiedział.

Żyrafa pochyliła głowę.

— Niżej.

Pochyliła jeszcze bardziej.

— Trochę w lewo.

Przesunęła szyję.

— Teraz ostrożnie.

Udało jej się przejść, ale przez cały korytarz musiała trzymać głowę nisko, niemal pomiędzy przednimi nogami.

W pierwszym skrzydle zmierzono jej wysokość.

Wynik przekraczał wszystkie przyjęte normy.

— To dlatego nie mieści się pani w pomieszczeniach — oznajmił diagnosta.

— Na równinie się mieszczę — odpowiedziała żyrafa.

Zapisano uwagę.

Interpretatorzy zwrócili uwagę na jej sposób odnoszenia się do otoczenia.

Żyrafa miała zwyczaj patrzeć na rozmówców z góry.

Nie opuszczała głowy, dopóki wyraźnie jej o to nie proszono.

Niektórzy pracownicy odczuwali przy niej zakłopotanie.

Jeden z interpretatorów uznał, że może to wskazywać na potrzebę dominacji.

Drugi dostrzegł trudność w uznawaniu równości.

Trzeci zwrócił uwagę, że żyrafa zdaje się oczekiwać, aby otoczenie dostosowywało się do jej szczególnych właściwości.

Skierowano ją do specjalisty.

Gabinet na najwyższym piętrze miał wysoki sufit, ale drzwi były równie niskie jak pozostałe.

Żyrafa weszła z pochyloną głową.

Specjalista poprosił, żeby opowiedziała o swoich trudnościach.

— Boli mnie szyja, kiedy muszę chodzić w taki sposób.

— Czy uważa pani, że otoczenie powinno zmieniać się ze względu na pani potrzeby?

Żyrafa zastanawiała się przez chwilę.

— Chciałabym móc chodzić z podniesioną głową.

Specjalista zapisał odpowiedź.

W opinii znalazło się podejrzenie cech narcystycznych, związanych między innymi z trudnościami w dostosowaniu własnej postawy do oczekiwań otoczenia.

Zalecono dalszą obserwację oraz ćwiczenia korygujące.

Pieczęć zajęła prawie całą dolną część kartki.

Żyrafa wróciła do interpretatorów.

Zalecili ćwiczenia pochylania głowy.

Żyrafa ćwiczyła.

Rano, przed wejściem do domu, pochylała szyję. Po południu powtarzała ćwiczenia w ogrodzie. Wieczorem próbowała utrzymać głowę nisko przez coraz dłuższy czas.

Po kilku tygodniach zaczęła odczuwać ból.

Najpierw w karku.

Później pomiędzy łopatkami.

W końcu także w przednich nogach, na które przenosiła coraz większą część ciężaru.

Wróciła do diagnostów.

Rozpoznano przeciążenie układu ruchu.

Interpretatorzy uznali, że należy doskonalić technikę pochylania.

Specjalista zalecił dodatkową konsultację dotyczącą postawy.

Żyrafa coraz rzadziej prostowała szyję.

Nawet na równinie chodziła z pochyloną głową, choć nad nią rozciągało się niebo, a na wysokich akacjach rosły świeże liście.

Pewnego dnia przestała dosięgać gałęzi, z których wcześniej jadła.

Zaczęła więc szukać pożywienia niżej.

Tam jednak większość liści była już objedzona przez inne zwierzęta.

Wkrótce schudła.

W domu dwóch skrzydeł zwołano naradę.

Rozpatrywano możliwość zastosowania specjalnego kołnierza, który utrzymywałby szyję w odpowiedniej pozycji.

Jeden z diagnostów wspomniał nawet o konieczności trwałego zmniejszenia jej długości.

Interpretatorzy uznali, że taki zabieg mógłby ostatecznie rozwiązać trudność.

Postanowiono jednak zaczekać na opinię specjalisty.

Żyrafa stała tymczasem pod gruszą.

Nad jej głową dojrzewały owoce.

Nie sięgała po nie.

Od dawna przecież uczono ją, że nie powinna tak wysoko podnosić głowy.

Wielbłąd przybył zimą.

Przeszedł długą drogę od pustyni, prowadzącą przez kamieniste wzgórza, a następnie przez rozległe równiny.

Był stary.

Jego sierść miejscami przerzedziła się, a na nogach miał ciemne zgrubienia od wieloletnich wędrówek.

Na grzbiecie nosił duży garb.

Przez całe życie przemierzał pustynne szlaki. Znał miejsca, w których można było znaleźć wodę, oraz zagłębienia terenu dające schronienie przed najgorszym upałem.

Wiedział, kiedy należy iść, a kiedy lepiej przeczekać południowy żar.

Jego garb zmieniał się wraz z długością wędrówek i dostępnością pożywienia. Kiedy jadł dostatecznie dużo, wypełniał się zapasami tłuszczu. Podczas długich okresów niedostatku zapasy stopniowo malały.

Wielbłąd nie zastanawiał się nad tym.

Podobnie jak nie zastanawiał się nad szerokością swoich stóp, które pozwalały mu poruszać się po piasku.

Wiedział jedynie, że jego ciało od dawna umiało żyć tam, gdzie inne zwierzęta nie wytrzymywały nawet kilku dni.

Ale od pewnego czasu nie wędrował już tak jak dawniej.

Kilka miesięcy wcześniej, podczas przeprawy przez pustynię, zaskoczyła go gwałtowna burza piaskowa.

Podróżował wtedy z drugim wielbłądem, z którym od wielu lat pokonywał ten sam szlak.

Szli blisko siebie.

Kiedy wiatr zaczął podrywać piasek, zatrzymali się przy niewysokim skalnym występie.

Początkowo wydawało się, że burza szybko minie.

Ale wiatr stawał się coraz silniejszy.

Piasek wdzierał się do oczu, uszu i nozdrzy. Nie było już widać skał ani ziemi, ani nawet nóg stojącego obok towarzysza.

W pewnej chwili rozległ się głuchy odgłos osuwających się kamieni.

Wielbłąd cofnął się gwałtownie.

Usłyszał jeszcze krótki głos towarzysza.

Potem tylko wiatr.

Kiedy burza minęła, znalazł się sam.

Szukał przez wiele godzin.

Krążył wokół skalnego występu, wracał do miejsca, w którym stali, węszył, nasłuchiwał.

Nie odnalazł drugiego wielbłąda.

Po kilku dniach dotarł do znanej studni.

Pił długo.

Potem przez wiele dni prawie się nie poruszał.

Od tamtego czasu, kiedy wiatr zaczynał unosić piasek, zdarzało mu się nieruchomieć.

Niektóre noce spędzał na czuwaniu.

Niekiedy budził się gwałtownie, jakby właśnie usłyszał tamten krótki głos.

Wędrowcy, którzy spotykali go później na szlaku, zauważyli zmianę.

Dawniej szedł pierwszy.

Teraz, kiedy zbliżały się ciemne chmury, zatrzymywał się i długo patrzył w stronę pustyni.

Pewnego dnia dotarł do domu dwóch skrzydeł.

Nad miasteczkiem wiał silny wiatr.

Przy jednym z zakrętów zerwał się wir kurzu. Suche liście uniosły się z ziemi, a piasek zalegający przy krawędzi drogi uderzył wielbłąda w pysk.

Zwierzę zatrzymało się gwałtownie.

Zadrżało.

Przez chwilę próbowało cofnąć się w kierunku, z którego przyszło.

Zobaczył to portier.

Podszedł ostrożnie.

— Czy coś się stało?

Wielbłąd długo nie odpowiadał.

— Przypomniał mi się wiatr — powiedział w końcu.

Portier popatrzył na niego z troską.

— Może powinniśmy zaprosić pana do środka?

Wielbłąd skinął głową.

Był zmęczony.

Od dawna nie spał spokojnie.

Może rzeczywiście ktoś potrafiłby mu pomóc.

W pierwszym gabinecie poproszono go, żeby stanął bokiem.

Diagnosta przyglądał się dużemu garbowi.

— Jak długo pan to nosi?

— Od urodzenia.

— I przez cały czas nie udało się panu tego pozbyć?

Wielbłąd zdziwił się.

— Nie chciałem.

Diagnosta zanotował odpowiedź.

Zmierzono wysokość garbu, jego szerokość oraz położenie względem osi ciała.

W kolejnym gabinecie poproszono wielbłąda o opisanie ostatnich trudności.

Zaczął opowiadać o burzy.

O wietrze.

O swoim towarzyszu.

Ale diagnosta, który właśnie porównywał wyniki pomiarów, przerwał mu uprzejmie.

— Do tego jeszcze wrócimy. Chciałbym najpierw ustalić, od kiedy nosi pan ten ciężar.

— Zawsze miałem garb.

— A czy po tamtym wydarzeniu wydaje się panu większy?

Wielbłąd przez chwilę milczał.

Nie wiedział.

Nie przyglądał się swojemu grzbietowi od czasu burzy.

W dokumentacji zapisano:

„Utrwalone obciążenie grzbietowe. Możliwy związek z przebytymi doświadczeniami. Trudność w ocenie rozmiaru własnego obciążenia”.

Skierowano go do interpretatorów.

Ci zapoznali się z dokumentacją z wielkim zainteresowaniem.

— To bardzo wymowny obraz — powiedział jeden z nich. — Przez całe życie nosić na sobie ciężar.

— Być może jest to ciężar przeżyć, których nie udało się pozostawić za sobą — dodał drugi.

— A może nie potrafi rozstać się z przeszłością — zastanawiał się trzeci.

Wielbłąd próbował opowiedzieć o swoim towarzyszu.

— Kiedy zaczęła się burza, staliśmy obok siebie...

Interpretator pochylił się nad notesem.

— Czy ten drugi wielbłąd również miał garb?

— Tak.

— A więc obaj nosiliście podobne obciążenia.

Wielbłąd przestał mówić.

Interpretatorzy uznali, że sprawa jest złożona i wymaga specjalistycznego rozstrzygnięcia.

Na najwyższym piętrze wielbłąd musiał przejść przez szerokie drzwi.

Specjalista obejrzał jego grzbiet, zapoznał się z wynikami pomiarów i przeczytał notatkę o burzy piaskowej.

Przez chwilę zastanawiał się, jak połączyć zgromadzone informacje.

Wielbłąd stał przy oknie.

Na podwórzu wiatr podrywał suche liście.

— Boję się, kiedy tak wieje — powiedział cicho.

Specjalista podniósł wzrok.

— Rozumiem. Zdarzenia z przeszłości mogą pozostawiać trwałe ślady.

Wielbłąd skinął głową.

Po raz pierwszy od dawna miał wrażenie, że ktoś zrozumiał, o czym próbuje mówić.

Ale specjalista patrzył już na jego garb.

W opinii znalazło się rozpoznanie dotyczące traumy i utrwalonego obciążenia, a także zalecenie postępowania mającego stopniowo zmniejszyć ciężar, który zwierzę nosiło na grzbiecie.

Pod dokumentem znalazła się pieczęć.

Wielbłąd otrzymał skierowanie na terapię odciążającą.

Zajęcia odbywały się w ogrodzie.

Najpierw uczono wielbłąda odpowiedniego układania ciała, żeby garb wydawał się mniej wypukły.

Następnie przygotowano specjalne pasy, które miały ograniczać jego wybrzuszenie.

Każdego ranka pracownik zakładał je na grzbiet wielbłąda, sprawdzał ich napięcie i zapisywał wynik.

Wielbłąd nie czuł się w nich wygodnie.

Kiedy próbował usiąść, pasy uciskały go pod żebrami.

Kiedy wstawał, przesuwały się po sierści.

Z czasem na skórze pojawiły się otarcia.

Diagności uznali je za trudności związane z adaptacją do nowej metody.

Zalecono stopniowe wydłużanie czasu noszenia pasów.

Interpretatorzy zachęcali wielbłąda do wyobrażania sobie życia bez ciężaru.

— Proszę pomyśleć, jak swobodnie będzie pan mógł się poruszać, kiedy uda się panu go pozostawić za sobą.

Wielbłąd próbował.

Ale ilekroć zamykał oczy, widział pustynię.

Widział kamienisty występ.

Widział piasek, który nagle przesłonił wszystko.

Czasami wydawało mu się, że słyszy znajomy głos.

Otwierał oczy.

W gabinecie było cicho.

— Co pan czuł? — pytał interpretator.

— Szukałem go — odpowiadał wielbłąd.

— Kogo?

— Tego, z którym szedłem.

Interpretator zapisywał:

„Utrzymująca się koncentracja na utracie. Trudność w uwalnianiu nagromadzonych obciążeń”.

Po kilku tygodniach wielbłąd zaczął gorzej jeść.

Długie zajęcia i niewygodne pasy odbierały mu ochotę do wędrówek. Więcej czasu spędzał w zagrodzie. Rzadziej wychodził na drogę.

Jego garb stopniowo malał.

Pewnego dnia diagnosta zauważył to podczas pomiaru.

Wynik był wyraźnie niższy niż na początku postępowania.

Zwołano konsultację.

Interpretatorzy uznali, że wielbłąd zaczyna uwalniać się od dawnych obciążeń.

Specjalista potwierdził postęp.

Wystawił opinię kontrolną.

Pieczęć odbito starannie.

Tymczasem wielbłąd stawał się coraz słabszy.

Podczas jednej z prób dłuższego marszu musiał odpocząć już po kilku godzinach.

Nie miał dawnych zapasów energii.

Kiedy zaczął wiać wiatr, zatrzymał się.

Stał nieruchomo, drżąc tak samo jak w dniu, w którym przybył do domu.

Pracownik prowadzący ćwiczenia zapytał:

— Dlaczego pan nie idzie dalej? Przecież zrobił pan takie postępy.

Wielbłąd spojrzał na niego.

Chciał powiedzieć, że boi się burzy.

Że wciąż pamięta tamtą noc.

Że czasami budzi się, szukając towarzysza, którego nie ma obok.

Ale pracownik sprawdzał już napięcie pasów.

— Może trzeba je trochę poluzować — powiedział.

Następnego dnia wielbłąd otrzymał skierowanie na ponowną ocenę motywacji do dalszego postępowania.

Przygotowano nową teczkę.

Na jej pierwszej stronie zapisano:

„Stan po częściowym odciążeniu. Utrzymujące się trudności w samodzielnym podejmowaniu aktywności”.

Wielbłąd patrzył przez okno na drogę prowadzącą ku pustyni.

Wiatr ucichł.

Daleko za wzgórzami rozciągały się miejsca, które znał od młodości.

Nie ruszył.

Nie miał siły.

W tym samym miasteczku mieszkał siedmioletni Leon.

Miał ciemne włosy, wiecznie rozwiązujące się sznurowadła i niezwykłą zdolność zatrzymywania się w miejscach, w których inni ludzie nawet nie zwalniali.

Potrafił przez kwadrans przyglądać się wodzie spływającej po szybie.

Zdarzało mu się przystanąć przy mrówce niosącej znacznie większy od siebie kawałek liścia.

Kiedy padał deszcz, lubił patrzeć na kałuże. Niektóre odbijały całe niebo, inne tylko kawałek rynny albo fragment muru.

Leon zauważał, że kiedy wrzucał do kałuży kamyk, niebo rozpadało się na drobne kręgi.

Potem znowu stawało się całe.

Czasami wrzucał drugi kamyk, zanim pierwszy zdążył opaść na dno.

Dwie fale spotykały się pośrodku.

To było interesujące.

Matka Leona pracowała w dużym biurze po drugiej stronie miasta.

Wstawała wcześnie.

Przygotowywała śniadanie, ubrania, torbę syna, własne dokumenty i jedzenie do pracy. Sprawdzała telefon, nastawiała wodę, odkładała pranie, którego poprzedniego wieczoru nie zdążyła poskładać.

W jej biurze pilnowano czasu.

Spóźnienie oznaczało rozmowę z przełożonym. Niewykonane zadanie przechodziło na następny dzień, a następnego dnia przybywały już nowe.

Pracowała sumiennie. Często zostawała dłużej, żeby nie pozostawiać niczego niedokończonego.

Nieraz wieczorem siadała na kanapie i mówiła:

— Ja już naprawdę nie nadążam.

Ale rano znów wstawała pierwsza.

— Leon, wstawaj!

Chłopiec otwierał oczy.

— Leon, śniadanie!

Przychodził do kuchni.

— Leon, szybciej jedz, bo się spóźnimy!

Leon brał kolejną łyżkę.

Przez okno widział wróbla, który właśnie próbował wyciągnąć z ziemi długą dżdżownicę.

— Mamo, zobacz...

— Nie teraz, Leon.

Wychodzili.

Na schodach chłopiec przypominał sobie, że zostawił w pokoju znaleziony poprzedniego dnia kamyk.

— Leon, nie wracaj!

Na chodniku zatrzymywał się przy szczelinie, z której wyrastała trawa.

— Leon!

Przy przejściu dla pieszych patrzył na światła odbijające się w mokrym asfalcie.

— Pospiesz się, dziecko!

Matka coraz mocniej ściskała jego dłoń.

Nie dlatego, że chciała sprawić mu przykrość.

Po prostu musieli zdążyć.

Do szkoły.

Do pracy.

Do sklepu.

Do domu.

Do kolejnego poranka.

Pewnego dnia wychowawczyni poprosiła matkę o rozmowę.

Leon, jak wyjaśniła, często nie nadążał za tempem zajęć. Zatrzymywał się nad szczegółami, które dla innych dzieci nie miały większego znaczenia. Zdarzało mu się nie kończyć zadań w wyznaczonym czasie.

— Jest bardzo spostrzegawczy — powiedziała nauczycielka. — Ale trudno mu przechodzić od jednej czynności do drugiej.

Matka pokiwała głową.

Znała to przecież doskonale.

— W domu jest tak samo — odpowiedziała. — Wszystko trwa dwa razy dłużej, niż powinno.

Nauczycielka zaproponowała konsultację w domu dwóch skrzydeł.

Matka słyszała już o tej placówce.

Znajoma z pracy opowiadała jej, że zatrudnieni tam specjaliści potrafią nadać nazwę nawet najbardziej skomplikowanym trudnościom.

Wiele osób wychodziło stamtąd z poczuciem ulgi.

Wreszcie wiedzieli, z czym mają do czynienia.

Wreszcie ktoś mówił im, jak postępować.

Matka Leona przyjęła skierowanie.

Przecież chciała mu pomóc.

Do diagnostów przyjechali w środę rano.

Leon zainteresował się klamką przy wejściu. Była mosiężna, wypolerowana tysiącami dłoni, ale pośrodku miała niewielką ciemną plamkę.

Dotknął jej palcem.

— Leon, chodź.

W poczekalni siedziało kilka osób.

Na ścianie wisiała duża tablica informująca o kolejności postępowania.

Najpierw rozpoznanie.

Następnie interpretacja.

Potem, w razie potrzeby, specjalistyczne rozstrzygnięcie.

Na końcu zalecenia.

Leon spojrzał na tablicę, a później przez okno.

W ogrodzie zobaczył gruszę.

Na jednej z niskich gałęzi siedział ptak.

Pod drzewem stało dziwne, wysokie zwierzę z pochyloną szyją.

Nieco dalej, przy murze, leżał wielbłąd.

Miał na grzbiecie pasy, których przeznaczenia chłopiec nie rozumiał.

Chciał zapytać matkę, dlaczego wielbłąd je nosi.

Ale właśnie wywołano jego nazwisko.

W gabinecie poproszono chłopca o wykonanie kilku zadań.

Miał szybko przenosić przedmioty z jednego pudełka do drugiego, odpowiadać na pytania i reagować na dźwięk dzwonka.

Przy trzecim zadaniu zaczął oglądać drewniany klocek.

W jednym z jego boków tkwił mały sęk przypominający oko.

— Proszę się nie zatrzymywać — powiedział diagnosta.

Leon odłożył klocek.

Po zakończeniu badania sporządzono opis.

Stwierdzono wolniejsze tempo wykonywania czynności, trudności z utrzymaniem uwagi na wyznaczonym zadaniu i niedostateczną sprawność przechodzenia między kolejnymi poleceniami.

Skierowano chłopca do interpretatorów.

Ci długo rozmawiali z matką o codziennych trudnościach.

Ustalili, że Leon potrzebuje większej motywacji, lepszego organizowania czasu i nauki szybszego reagowania na polecenia.

Zwrócili również uwagę, że niektóre zachowania chłopca mogą wymagać dokładniejszej oceny specjalistycznej.

Matka otrzymała kolejne skierowanie.

Na najwyższym piętrze specjalista zapoznał się z dokumentacją. Przeprowadził dodatkową rozmowę, obserwował Leona podczas kolejnych zadań i zapytał matkę o funkcjonowanie syna w domu i szkole.

Matka opowiadała długo.

O porankach.

O spóźnieniach.

O trudnościach z ubieraniem się.

O kałużach.

O kamykach.

O tym, że czasem musi powtarzać jedno polecenie pięć albo sześć razy.

Specjalista zadawał pytania i robił notatki.

Leon siedział przy oknie.

Za szybą, na gałęzi starej gruszy, dwa wróble kłóciły się o kawałek owocu.

Chłopiec obserwował je z zainteresowaniem.

Kiedy specjalista zwrócił się do niego, Leon nie odpowiedział od razu.

Trzeba było powtórzyć pytanie.

Po zakończeniu konsultacji specjalista przygotował opinię.

Wśród rozpoznań znalazło się ADHD.

Matka przeczytała dokument dwukrotnie.

Pod spodem widniał podpis i okrągła pieczęć.

Poczuła ulgę.

Dotychczas miała tylko własne obserwacje, uwagi nauczycielki i codzienne trudności.

Teraz wiedziała, jak nazywa się rozpoznany stan.

Specjalista omówił możliwe formy dalszego postępowania, w tym konsultacje dotyczące leczenia farmakologicznego, oraz zalecił odpowiednio dobraną pracę nad codziennym funkcjonowaniem dziecka.

Matka podziękowała.

Schowała opinię do torebki.

Zeszli do interpretatorów.

Ci, korzystając z opinii specjalisty, przygotowali szczegółowy program.

Codziennie rano chłopiec miał ubierać się na czas.

Podczas posiłków należało ograniczać rozpraszające bodźce.

W zabawie proponowano wprowadzać zegar, krótkie polecenia i nagrody za sprawne kończenie rozpoczętych czynności.

Diagności mieli co pewien czas oceniać postępy.

Matka otrzymała tabelę.

Przy każdym zadaniu znajdowało się miejsce na wpisanie czasu wykonania.

Wieczorem pokazała ją Leonowi.

— Zobacz, synku, teraz będziemy ćwiczyć, żeby wszystko szło nam sprawniej.

Leon przyglądał się kolorowym rubrykom.

— A będziemy mieli więcej czasu? — zapytał.

— Właśnie o to chodzi — odpowiedziała matka.

I naprawdę w to wierzyła.

Przez następne tygodnie w mieszkaniu częściej odzywał się dzwonek zegara.

Leon miał trzy minuty na ubranie się.

Dwie na spakowanie tornistra.

Określony czas na śniadanie.

Matka pilnowała wskazówek.

Kiedy udawało mu się wykonać zadanie szybciej niż poprzednio, otrzymywał gwiazdkę w tabeli.

Czasami się cieszył.

Innym razem nie zdążył nawet zauważyć, że zrobił coś dobrze, ponieważ rozpoczynali już następne ćwiczenie.

Po pewnym czasie rzeczywiście zaczął szybciej wkładać buty.

Rzadziej zatrzymywał się na schodach.

Kiedy w drodze do szkoły zobaczył mrówkę niosącą liść, przez chwilę zwolnił, ale zaraz sam przyspieszył.

Matka pochwaliła go.

— Widzisz, Leonku? Jak chcesz, to potrafisz.

Chłopiec uśmiechnął się słabo.

Nazajutrz nie zatrzymał się już przy mrówkach.

Po tygodniu przestał pokazywać matce kałuże.

Nauczycielka zauważyła poprawę.

Matka również.

Podczas kolejnej wizyty diagności stwierdzili skrócenie czasu wykonywania zadań.

Interpretatorzy uznali, że program przynosi oczekiwane rezultaty.

Specjalista zapoznał się z nowymi pomiarami i sporządził opinię kontrolną.

Odnotowano postęp.

Na dokumencie pojawiła się kolejna pieczęć.

Matka wróciła do domu zadowolona.

Położyła opinię obok poprzedniej.

Przez chwilę porównywała obie kartki.

Pierwsza zawierała opis trudności.

Druga potwierdzała poprawę.

Wszystko zmierzało we właściwym kierunku.

Tymczasem Leon coraz częściej wieczorem siedział bez ruchu na brzegu łóżka.

Kiedy matka pytała, dlaczego jeszcze nie przygotował ubrania na następny dzień, wzruszał ramionami.

Zdarzało mu się płakać bez wyraźnego powodu.

Rano skarżył się czasem na ból brzucha.

Matka próbowała go pocieszać.

— Wszystko będzie dobrze, tylko musimy się trochę postarać.

Chłopiec kiwał głową.

Po kilku dniach przestał mówić o brzuchu.

Za to coraz częściej budził się w nocy.

Matka była zmęczona.

Nie nadążała z pracą. W domu piętrzyło się pranie. Przełożony przypominał o zaległych dokumentach.

Pewnego wieczoru, gdy Leon po raz kolejny nie mógł zasnąć, usiadła na skraju jego łóżka i powiedziała:

— Synku, ja już naprawdę nie mam siły. Wiesz, ile mam obowiązków? Musisz mi trochę pomagać.

Leon przytulił się do niej.

— Dobrze, mamo.

Następnego dnia bardziej się starał.

Był listopad.

Od rana padał zimny, drobny deszcz.

Leon obudził się później niż zwykle.

Matka weszła do jego pokoju z ubraniami przewieszonymi przez ramię.

— Wstawaj, bo znowu nie zdążymy.

Chłopiec nie odpowiedział.

Podeszła bliżej.

Dotknęła jego czoła.

Było gorące.

Przyniosła termometr.

Kiedy zobaczyła wynik, natychmiast usiadła obok niego.

Tego dnia nie poszedł do szkoły.

Matka zadzwoniła do pracy, potem umówiła konsultację lekarską. Lekarz zbadał chłopca, ocenił jego stan i zalecił odpoczynek oraz dalszą obserwację.

Matka uzyskała zwolnienie na opiekę nad chorym dzieckiem.

Po powrocie do domu położyła Leona do łóżka, przyniosła mu wodę i poprawiła kołdrę.

Potem poszła do kuchni.

Była dopiero dziesiąta.

Zwykle o tej porze siedziała już przy biurku, odbierała telefony, otwierała kolejne dokumenty i sprawdzała, czego jeszcze nie zdążyła zrobić.

Teraz stała przy kuchennym oknie.

Na parapecie leżał mały, biały kamyk.

Leon przyniósł go kilka tygodni wcześniej, znaleziony przy drodze. Chciał jej wtedy pokazać, że pod odpowiednim kątem kamień błyszczy.

Nie zdążyła go obejrzeć.

Wzięła kamyk do ręki.

Obróciła go.

Rzeczywiście, w jednym miejscu przebiegała przez niego wąska, połyskująca żyłka.

Odłożyła kamień.

Nastawiła wodę na herbatę.

W mieszkaniu było cicho.

Nie dzwonił budzik. Nikt nie pytał o dokumenty. Nie trzeba było zaraz wychodzić.

Pomyślała o zaległej pracy.

Potem o tym, że przynajmniej przez kilka dni nie będzie musiała tam jeździć.

Poczuła ulgę.

Ta ulga niemal natychmiast ją zawstydziła.

Przecież Leon był chory.

Nie powinna cieszyć się z tego, że może zostać w domu.

Wzięła kubek i wróciła do jego pokoju.

Chłopiec spał.

Usiadła na krześle obok łóżka.

Po pewnym czasie Leon otworzył oczy.

— Mamo?

— Jestem.

— Nie idziesz do pracy?

— Nie. Dzisiaj zostaję z tobą.

Przymknął oczy.

Wyciągnął spod kołdry rękę.

Matka podała mu dłoń.

Trzymał ją przez chwilę, a potem znów zasnął.

Siedziała jeszcze długo.

Herbata wystygła.

Nazajutrz Leon nadal gorączkował.

Matka podawała mu wodę, sprawdzała temperaturę i zaglądała do pokoju, kiedy tylko się poruszył.

Po południu usiadła obok niego z książką.

Czytała kilka stron, a potem przerwała.

Chłopiec spał spokojnie.

Przez uchylone okno dobiegł śpiew ptaka.

Matka podniosła głowę.

Nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio siedziała tak długo bez wykonywania żadnej pracy.

Przypomniała sobie poranki, kiedy ciągnęła Leona za rękę.

Jego sznurowadła.

Kamyki.

Mrówki.

Kałuże.

Przypomniała sobie, jak coraz szybciej wykonywał ćwiczenia i jak bardzo była z tego zadowolona.

Przypomniała sobie również wieczór, kiedy powiedział, że będzie się bardziej starał.

Spojrzała na jego małą dłoń leżącą na kołdrze.

I pojawiła się myśl, której wcale nie szukała.

Czy to możliwe, że Leon zachorował dlatego, że inaczej nie potrafił mnie zatrzymać?

Nie znała odpowiedzi.

Długo siedziała z tą myślą.

Nie chciała jej rozstrzygać.

Przypominała sobie jedynie wszystkie te chwile, kiedy Leon próbował się zatrzymać, a ona nie mogła.

I teraz, kiedy leżał chory, po raz pierwszy od dawna naprawdę była przy nim.

Nie powiedziała mu o swojej myśli.

Poprawiła tylko kołdrę, która zsunęła się z jego ramienia.

Za oknem znów zaczął padać deszcz.

Trzeciego dnia zadzwoniła wychowawczyni.

Zapytała o zdrowie Leona i o to, kiedy będzie mógł wrócić do szkoły.

Matka odpowiedziała, że jeszcze nie wie.

— A jak z ćwiczeniami? — zapytała nauczycielka. — Czy udaje się państwu zachować ciągłość?

Matka spojrzała na stół.

Leżała na nim tabela z kolorowymi rubrykami.

Ostatnie trzy dni pozostały puste.

— Na razie nie ćwiczymy — odpowiedziała.

— Oczywiście, oczywiście. Najpierw musi wyzdrowieć. Potem wrócicie do programu.

Rozmowa się skończyła.

Matka długo trzymała telefon w dłoni.

Potem otworzyła notes.

Znalazła w nim zalecenia diagnostów, wskazówki interpretatorów i dwie opinie specjalisty.

Na pierwszej widniało rozpoznanie.

Na drugiej potwierdzenie postępów.

Obie miały podpisy i pieczęcie.

Otworzyła tabelę ćwiczeń.

Wszystko było uporządkowane.

Każdy dzień miał swój cel.

Każda czynność swój czas.

Na końcu znajdowała się rubryka:

„Oczekiwany rezultat — zwiększenie sprawności i tempa funkcjonowania”.

Czytała ją kilkakrotnie.

Nie potrafiła już przypomnieć sobie, kto pierwszy powiedział, że Leon powinien być szybszy.

Ona?

Nauczycielka?

Diagności?

Interpretatorzy?

Specjalista?

A może nikt tego nie powiedział jako pierwszy.

Może wszyscy po prostu powtarzali coś, czego sami nauczyli się dawno temu.

W domu dwóch skrzydeł również trwała praca.

Zebra otrzymała nowy program wspomagania przystosowania do stada.

Gepard został skierowany na kolejne badania z powodu niedożywienia.

Leniwcowi zwiększono liczbę ćwiczeń pobudzających aktywność.

Żyrafie zalecono sztywniejszy kołnierz, który miał ograniczać nieprawidłowe ruchy szyi.

Wielbłąd otrzymał kolejny zestaw zajęć służących przezwyciężaniu trudności z podejmowaniem aktywności po zakończonym odciążeniu.

Diagności każdego dnia sporządzali nowe rozpoznania.

Interpretatorzy każdego dnia przygotowywali nowe wyjaśnienia.

Na najwyższym piętrze specjaliści podpisywali kolejne opinie.

Dokumentacja rosła.

Zebra miała już trzy teczki.

Pierwsza dotyczyła jej pierwotnego ubarwienia.

Druga trudności związanych z przystosowaniem do stada.

Trzecia zawierała szczegółowy program odbudowy tożsamości.

W dokumentacji geparda znajdowały się wyniki pomiarów prędkości, opinia o nadpobudliwości, potwierdzenie skuteczności ćwiczeń, rozpoznanie niedożywienia i zalecenia dotyczące wzmacniania organizmu.

Teczka leniwca była nieco cieńsza, ale szybko przybywały w niej kolejne zapisy o obniżonej aktywności.

W przypadku żyrafy zastanawiano się już nad połączeniem postępowania dotyczącego cech osobowości z rehabilitacją narządu ruchu.

Dokumentacja wielbłąda zawierała liczne pomiary garbu, opis stosowanych pasów, wyniki postępowania odciążającego i starannie sporządzone opinie o trudnościach z uwalnianiem się od ciężaru przeszłości.

W jednej z pierwszych notatek znajdowała się krótka wzmianka o burzy piaskowej.

Nie było tam imienia drugiego wielbłąda.

Ani opisu tego, jak długo jego towarzysz szukał go później wśród skał.

Przy każdej nowej konsultacji sięgano do wcześniejszych dokumentów.

Specjaliści powoływali się na ustalenia diagnostów.

Diagności uwzględniali opinie specjalistów.

Interpretatorzy dostosowywali programy do kolejnych rozstrzygnięć.

Wszystko odbywało się zgodnie z przyjętą procedurą.

Nikt nie podważał potrzeby dalszej pomocy.

W ogrodzie dojrzały ostatnie gruszki.

Pewnego ranka jedna z nich spadła prosto na ścieżkę, którą wcześniej ćwiczył gepard.

Ogrodnik podniósł ją i zaniósł portierowi.

— Może ktoś chciałby zjeść?

Portier spojrzał na owoc.

— Trzeba najpierw ustalić, do którego skrzydła należy.

Ogrodnik odłożył gruszkę na parapet.

Pod wieczór zaczęła brązowieć.

W piątek Leon poczuł się trochę lepiej.

Gorączka opadła. Zjadł kawałek chleba, wypił herbatę i poprosił o otwarcie okna.

Matka uchyliła je ostrożnie.

Na podwórku, w niewielkim zagłębieniu pomiędzy chodnikiem a trawnikiem, zebrała się deszczówka.

Była tam kałuża.

Leon podniósł się na łokciu i przez dłuższą chwilę przyglądał się wodzie.

Matka usiadła obok.

Nie rozumiała, co w tej kałuży może być tak interesującego.

Widziała tylko szarą wodę, kilka mokrych liści i odbicie kawałka muru.

Chłopiec patrzył dalej.

Po chwili przez wodę przebiegły kręgi.

Gdzieś z rynny spadła kropla.

Potem następna.

Leon uśmiechnął się nieznacznie.

Matka chciała zapytać, co zobaczył.

Nie zapytała.

Przyglądała się razem z nim.

Po pewnym czasie chłopiec zmęczył się i znów położył głowę na poduszce.

W kuchni zaczął dzwonić telefon.

Matka wstała, ale zanim wyszła, zatrzymała się przy drzwiach.

Na ścianie wisiał zegar.

Za godzinę wypadała pora codziennych ćwiczeń przyspieszających.

Leon zaczynał wracać do zdrowia.

W poniedziałek miał znów pójść do szkoły.

Ona do pracy.

Wszystko miało powoli wracać na swoje miejsce.

A jednak, stojąc w drzwiach pokoju, przypomniała sobie coś, czego wcześniej nie zauważała.

Przez ostatnie dni Leon ani razu nie musiał jej doganiać.

To ona podchodziła do jego łóżka.

To ona czekała, aż skończy pić.

To ona zatrzymywała się, kiedy chciał potrzymać ją za rękę.

Telefon przestał dzwonić.

Matka wróciła do pokoju.

Usiadła na krześle.

Leon spał.

Na stoliku leżał termometr. Obok niedopity kubek herbaty i kartka z zaleceniami dotyczącymi ćwiczeń.

Pod kartką znajdowały się dwie opinie.

Matka wzięła pierwszą do ręki.

Przyjrzała się okrągłej pieczęci.

Była wyraźna, starannie odbita, z niewielkim rozmazaniem tuszu przy dolnej krawędzi.

Przypomniała sobie dzień, w którym otrzymała ten dokument.

Wyszła wtedy z gabinetu z poczuciem ulgi.

Wreszcie wiedziała.

Wreszcie wszystko miało swoją nazwę.

Wreszcie ktoś powiedział jej, co należy robić.

Spojrzała na śpiącego Leona.

Pomyślała o tym, jak długo potrafił kiedyś siedzieć przy kałuży.

Jak przyglądał się mrówkom.

Jak zbierał kamyki.

Jak zatrzymywał się, zanim nauczył się przyspieszać.

Odłożyła opinię.

Nie wiedziała, co zrobi w poniedziałek.

Nie miała nowego programu.

Nie umiała jeszcze wyobrazić sobie poranka bez pośpiechu.

Nie wiedziała, czy jej pytanie o chorobę Leona kiedykolwiek znajdzie odpowiedź.

Wiedziała tylko, że siedzi obok syna, który śpi, oddycha i co jakiś czas porusza dłonią na kołdrze.

Za oknem wiatr popychał po wodzie niewielki, żółty liść.

Płynął powoli, zatrzymywał się przy brzegu kałuży, a potem znów ruszał.

Matka patrzyła na niego przez chwilę.

W kuchni zegar wybił godzinę, o której Leon zwykle rozpoczynał ćwiczenia.

Tym razem nikt nie uruchomił stopera.

W poniedziałek rano, na najwyższym piętrze domu dwóch skrzydeł, rozpoczęto przyjmowanie kolejnych osób.

Pierwszy specjalista otworzył gabinet i położył na biurku czystą kartkę.

Drugi sprawdził termin następnej konsultacji.

Trzeci wymienił poduszkę z tuszem w swojej pieczęci.

Na korytarzu czekali już diagności z nowymi rozpoznaniami i interpretatorzy z kolejnymi wyjaśnieniami.

Wśród dokumentów znajdowała się również teczka Leona.

Przy jego nazwisku zapisano datę następnej wizyty.

W rubryce dotyczącej dotychczasowego postępowania odnotowano znaczną poprawę tempa wykonywania czynności.

Niżej znajdowało się miejsce na kolejne pomiary.

I miejsce na kolejne zalecenia.

I miejsce na podpis.

A na samym dole pozostawiono pusty prostokąt, w którym miała zmieścić się okrągła pieczęć.

W domu Leona był właśnie poranek.

Matka przygotowywała śniadanie.

Chłopiec stał przy oknie.

Na zewnętrznym parapecie siedział wróbel.

Leon przyglądał mu się uważnie.

Matka spojrzała na zegar.

Otworzyła usta.

Przez chwilę miała już na końcu języka znajome słowa.

— Leon, szybciej...

Nie wypowiedziała ich.

Zamiast tego podeszła do okna.

Wróbel przekrzywił głowę.

Przez krótką chwilę patrzyli na niego oboje.

Potem ptak odleciał.

Matka wróciła do kuchni, ponieważ woda zaczynała się gotować.

Leon został przy oknie jeszcze przez chwilę.

Na stole leżała tabela ćwiczeń.

Obok niej dwie opinie, podpisane, opatrzone pieczęciami.

W jednej z rubryk matka miała zapisać czas, w jakim chłopiec wykonał poranne czynności.

Wzięła długopis.

Spojrzała na zegar.

A potem na Leona.

Przez chwilę trzymała długopis nad pustą kratką.

Nie wpisała niczego.

Odłożyła go i zawołała syna na śniadanie.

— Leonku, chodź. Jajka jeszcze ciepłe.

Chłopiec przyszedł.

Usiadł przy stole.

Wziął do ręki łyżeczkę.

Na jej wypukłej powierzchni zobaczył własną twarz, dziwnie wydłużoną i odwróconą.

Obrócił łyżeczkę.

Twarz zrobiła się mała.

Obrócił ją znowu.

Matka zauważyła, co robi.

Spojrzała na zegar.

Potem na łyżeczkę.

Leon uśmiechnął się do swojego odbicia.

I przez kilka chwil żadne z nich nie zajmowało się tym, ile czasu pozostało do wyjścia.